

# MATERIAŁY

Przegląd Historyczno-Oświatowy  
2019, nr 3–4  
PL ISSN 0033-2178

JÓZEF MIĄSO  
ORCID: 0000-0003-2320-6661  
Polska Akademia Nauk  
Warszawa

## ZAPISANE W PAMIĘCI. FRAGMENT AUTOBIOGRAFII<sup>1</sup>

Mój ród wywodzi się z ziemi ropczyckiej, która obejmuje teren dzisiejszego powiatu ropczycko-sędziszowskiego, położonego na styku Kotliny Sandomierskiej i Pogórza Karpackiego. Ropczyce to stare, średniowieczne miasto, leżące nad rzeką Wielopolką, która przez wiele wieków nosiła nazwę Brzeźnica. Dzięki korzystnemu usytuowaniu na skrzyżowaniu ważnych dróg handlowych z Rusi przez Kraków na Śląsk oraz z Węgier przez Krosno do Sandomierza były miastem dość zamożnym. Prawa miejskie otrzymały w 1362 roku od Kazimierza Wielkiego. Pierwotna nazwa miasta, jak to wykazał profesor Kazimierz Rymut, wychowanek naszego liceum, brzmiała Robczyce, od nazwy osobowej Robek (od: robić, robota) i dopiero wtórnie, w wyniku upodobnienia fonetycznego, została przekształcona w Ropczyce.

W XVII wieku, po szwedzkim potopie oraz najeździe wojsk księcia Jerzego Rakoczego, miasto zaczęło chylić się ku upadkowi. W następstwie I rozbioru Polski już w 1772 roku, od strony Słowacji, wkroczyło do Ropczyc wojsko austriackie i zainstalowało tu swój garnizon, który istniał bez przerwy aż do pierwszych dni listopada 1918 roku. Oznacza to, że ludność znacznej części tzw. Galicji, do której należeli moi przodkowie, musiała znosić niewolę narodową znacznie dłużej niż mieszkańcy innych ziem polskich.

Władze austriackie traktowały Galicję jako kolonię, ale modernizowały jej system administracyjny, tworzyły też nową sieć komunikacyjną. W latach 1775–1780, z polecenia cesarzowej Marii Teresy, wybudowano trakt cesarski,

---

<sup>1</sup> Materiał był opublikowany w wersji angielskojęzycznej „Przeglądu Historyczno-Oświatowego” w numerze 3–4, 2018. Na prośbę Czytelników publikujemy go ponownie w języku polskim.

prowadzący od Bielska przez Wadowice, Kraków, Tarnów, Ropczyce, Rzeszów i Przemyśl aż do Lwowa. Ten „bity gościniec” to dzisiejsza międzynarodowa trasa A4. Moją rodzinę wiąże z nim specjalny sentyment. Był on przez kilkadziesiąt lat miejscem pracy mojego ojca, pełniącego funkcję droźnika. Stanowisko to dzisiaj nie istnieje. W połowie XIX w. wybudowano najważniejszą w Galicji drogę żelazną, łączącą Kraków ze Lwowem, ale omijała ona miasto.

W 1855 roku w wyniku reformy administracyjnej Ropczyce stały się stolicą powiatu, obejmującego również miasta: Dębicę, Sędziszów Małopolski i Wielopole, które w okresie międzywojennym utraciło status miasta.

W drugiej połowie XIX w. Ropczyce podupadły gospodarczo. Stopniowo zanikało rzemiosło, rzemieślnicy rozbiegli się po wsiach bądź zajęli się rolnictwem, pozostały sklepiki, przeważnie żydowskie, oraz różnorodne agencje skupu, głównie płodów rolnych. Większość mieszkańców opisywanego miasteczka stanowili rolnicy bądź osoby łączące pracę w handlu i usługach z uprawą skrawka ziemi. W Niemczech tego typu „chłopomieszczanin” był określany trafnym mianem *Ackerbürger*. Mieszkańcy Ropczyc stynęli z uprawy cebuli, którą z powodzeniem sprzedawali na okolicznych jarmarkach. Z tego właśnie powodu do dnia dzisiejszego są nazywani *cebularzami*. W 1912 roku miasto liczyło 3339 mieszkańców, w tym 2258 Polaków, 1069 Żydów, 10 Ukraińców i 2 Ormian<sup>2</sup>.

W latach pierwszej wojny światowej powiat ropczycki – dwukrotnie okupowany przez armię rosyjską – został poważnie zniszczony. Kilkaset domów zostało spalonych. Ludność była ograbiana przez żołnierzy obu walczących stron, a do wielu domów zaczął zaglądać głód.

Wolność zawitała do Ropczyc wcześniej niż do Warszawy. Już 7 października 1917 roku na budynku magistratu powiewała polska flaga, mimo protestów starostwa oraz żandarmerii. W dniu 1 listopada 1918 roku *spadły o godz. 8 rano orły i emblematy austriackie na oczach batalionu austriackiego, złożonego z Czechów i Niemców* (Fierich, 1936, s. 75).

W okresie międzywojennym, mimo podejmowanych różnych prób modernizacyjnych, Ropczyce pozostały miasteczkiem ubogim i raczej zacofanym. Nie miały kanalizacji ani wodociągów. Nie znały też elektryczności ani dróg asfaltowych. Chodniki, o ile mnie pamięć nie myli, można było spotkać tylko w ścisłym śródmieściu. Sądzę, że największym osiągnięciem Ropczyc czasów Drugiej Rzeczypospolitej było utworzenie w latach 1923–1924 dwóch szkół średnich i zaawansowanie budowy trzeciej, czyli gimnazjum ogrodniczego. Koedukacyjne Miejskie Gimnazjum Klasyczne, o ośmioletnim kursie nauki, cieszyło się pełnymi prawami szkół państwowych, a jednym z jego maturzystów był znany pisarz Wilhelm Mach. Także Miejskie Żeńskie Seminarium Nauczycielskie rychło zapełniło się uczennicami pochodzącymi nie tylko z ziemi ropczyckiej. Żywot tych szkół był jednak krótki. Po tzw. reformie jędrzejewiczowskiej z 1932 roku

---

<sup>2</sup> Wiele informacji na temat historii Ropczyc zasięgnąłem z książki: W. Bonusiak, F. Kiryk (red.) (1991), *Ropczyce. Zarys dziejów*, Rzeszów: KAW.

pierwsza szkoła została przekształcona w czteroletnie gimnazjum bez praw państwowych, a żeńskie seminarium uległo likwidacji. Ogólną mizериę miasta pogłębiła jeszcze decyzja władz o przeniesieniu w 1936 roku stolicy powiatu do Dębicy, będącej już ważnym ośrodkiem przemysłowym, liczącym blisko dziesięć tysięcy mieszkańców.

W czasach Polski Ludowej upowszechniany był w Ropczycach pogląd, wspierany przez niektórych rzeszowskich historyków, że degradacja gimnazjum, zamknięcie seminarium nauczycielskiego oraz likwidacja powiatu były odwetem władz sanacyjnych za radykalizację polityczną ludności, której punktem szczytowym było tzw. powstanie ropczyckie w 1933 roku. Pogląd ten łatwo obalić. Reforma systemu szkolnictwa opracowana przez ministra Janusza Jędrzejewicza znosiła wszystkie seminaria nauczycielskie, wprowadzając licea pedagogiczne. Najwybitniejsi nauczyciele Gimnazjum Klasycznego opuścili wtedy Ropczyce, przenosząc się do większych miast. Natomiast pozostali nie mogli zagwarantować odpowiedniego poziomu nauczania, zwłaszcza w liceum, gdyby takie powstało. Przeniesienie stolicy powiatu do Dębicy przyczyniło się wprawdzie do zubożenia Ropczyc, ale było ono w pełni uzasadnione względami ekonomicznymi i administracyjnymi.

Iskrą, która rozpałała masowy bunt chłopów, były wydarzenia w Kozodrzy, wsi bardzo ubogiej, należącej do naszej witkowickiej parafii. W końcu maja 1933 roku pojawił się tam – w asyście policji – sądowy komornik, nazywany sekwestratorem, i w ramach egzekucji podatkowej zabrał chłopu ostatnią krowę, będącą przecież jedyną żywicielką rodziny, zwłaszcza dzieci. W obronie rolnika stanęła cała wieś, która przepędziła policjantów. Wydarzenie to odbiło się głośnym echem na całym Podkarpaciu. Na pomoc mieszkańcom Kozodrzy wyruszyły tysiące chłopów z województw krakowskiego i lwowskiego, natomiast władze wysłały przeciw nim wojskową żandarmerię. W pewną niedzielę konny oddział żandarmerii otworzył ogień do tłumu zgromadzonego przy kościółku pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny w Ropczycach, zabijając na miejscu pięć osób. Bardziej tragiczne były wydarzenia w innych miejscowościach. W Nockowej, broniącej się długo przed siłami porządkowymi, zginęło co najmniej dwudziestu pięciu chłopów.

Główną przyczyną była pogłębiająca się bieda na przeludnionej wsi, którą kryzys ekonomiczny jeszcze powiększył. Jerzy Fierich w swojej dysertacji doktorskiej stwierdzał, że chłopci coraz gorzej się odżywiają, na przednówku wielu głoduje, z powodu ubóstwa zmniejsza się też ilość zawieranych związków małżeńskich. Obniżył się również poziom moralności: *Kraść zaczynają ludzie, którzy przedtem nigdy tego nie robili* (Fierich, 1933, s. 271). Podobnie oceniał przyczyny chłopskiej rewolty Stanisław Kot, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. W sierpniu 1933 roku informował on byłego premiera Ignacego Paderewskiego o przebiegu i skutkach krwawych wydarzeń, m.in. o uwięzieniu dwóch, trzech tysięcy chłopów. *Zajścia wybuchły na tle i nędzy i nadużyć politycznych rządu, który tłumi je krwawo, ale przez swe metody buntuje chłopów przeciw państwu* (Archiwum polityczne Ignacego Paderewskiego, 1974, s. 225), pisał S. Kot.

Krwawe stłumienie rozruchów chłopskich nie doprowadziło do uspokojenia wsi. W 1937 roku wybuchły one jeszcze z większą siłą, obejmując prawie całą południową Polskę. I tym razem od kul policyjnych zginęło ponad czterdziestu chłopów. Ostatecznie do uśmierzenia nastrojów buntowniczych na wsi najbardziej przyczyniły się wielkie inwestycje przemysłowe, podjęte przez państwo dla wzmocnienia potencjału obronnego kraju. W ich wyniku powstał Centralny Okręg Przemysłowy (COP), zlokalizowany w widłach Wisły i Sanu, czyli tak zwanym „trójkącie bezpieczeństwa”. Pięknie opisał to wielkie przedsięwzięcie gospodarcze i cywilizacyjne Melchior Wańkowicz (Wańkowicz, 1939).

Inwestycje w rozwój zakładów przemysłowych na terenie COP całkowicie ominęły Ropczyce. Jako miasto położone w dość dużej odległości od linii kolejowej nie budziło zainteresowania. Kilka zakładów przemysłowych (na przykład Magnezyty, cukrownia) powstało dopiero w późnych latach Polski Ludowej. Znacznie wcześniej Ropczyce stanęły się miastem szkół, przeważnie zawodowych, które przez wiele lat będą dostarczać mechaników i techników do zakładów przemysłowych powstałych przed 1939 rokiem na terenach COP (Dębica, Mielec, Rzeszów, Nowa Dęba, Stalowa Wola). Od 1945 roku Ropczyce zaczęły się kojarzyć ludziom – nawet z odległych miejscowości – wyłącznie ze szkołami.

Z dziejami miasta jest ściśle związana moja wieś rodzinna, Witkowiec, które pierwotnie były wsią królewską. Parafia powstała tu w XIV wieku. W tej miejscowości przeżyłem pierwszych dwadzieścia lat mojego życia. Kilkadziesiąt lat temu wieś została włączona do Ropczyc. Obecnie osada pod tą nazwą nie istnieje w żadnym wykazie administracyjnym. Urząd Stanu Cywilnego ustalił, że faktycznym miejscem mojego urodzenia są Ropczyce.

Kilka słów o mojej rodzinie. Ojciec, Michał Miąso, był synem kościelnego (ur. 1895). Jako żołnierz armii austriackiej dostał się do niewoli rosyjskiej, będąc jeńcem, pracował w Kijowie, skąd uciekł i wędrował długi czas po Ukrainie. Po powrocie do domu został policjantem w Ropczycach. W 1919 roku ożenił się z Anielą Pękałą (ur. 1895). W roku 1920 zgłosił się do armii. W bitwie z bolszewikami odniósł rany i powrócił do domu o kulach. Dostał posadę dróżnika, stając się funkcjonariuszem państwowym. Mielśmy z tego tytułu pewne przywileje – zniżki na bilety kolejowe i bezpłatną opiekę lekarską. Ojciec był człowiekiem wybitnie inteligentnym, znał dwa języki obce – niemiecki i rosyjski, żył osiemdziesiąt osiem lat. Mama, córka kolejarza, była cudowną strażniczką domowego ogniska. Zmarła w dniu swoich sześćdziesiątych urodzin.

Miałem troje rodzeństwa: Janek (ur. 1921) został organistą, Marysia (ur. 1924) ukończyła przed wojną pierwszą klasę gimnazjum, a Staszek (ur. 1928), najzdolniejszy z nas, zdołał ukończyć dwie klasy liceum mechanicznego. Po wojnie aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa w Dębicy i zmasakrowany w czasie śledztwa wyszedł z więzienia dopiero w 1954 roku. Żył tylko czterdzieści dwa lata. Zginął tragicznie.

W naszej rodzinie przez długi czas nie było tradycji kształcenia dzieci powyżej szkoły podstawowej. Dopiero Marysia znalazła się w gimnazjum, gdyż babka,

Tekla Pękala, opłacała jej chesne ze swojej emerytury. Tylko kuzyn mojego ojca, Władysław Woźnik<sup>3</sup>, znany aktor, nazywany legendą teatru polskiego, zdobył wyższe wykształcenie.

Opis mojego środowiska rodzinnego powinienem rozpocząć od uwag na temat nazwiska, które noszę. Jest ono bardzo stare, spotyka się je w wielu dokumentach historycznych. Według profesora Kazimierza Rymuta (Rymut, 1933, s. 313) *Miāso*, *Miās*, *Miāsko* znaczyło tyle samo co *Mięso*. *Miāsz*, *Miāszy* znaczyło *gruby*, *mięsisty* lub *tuścioch*. Dwadzieścia lat temu nazwisko *Miāso* nosiło w Polsce 88 osób. Znacznie więcej było nazwisk zbliżonych do niego, na przykład *Miāsko* (607) czy *Miāsik* (579). Nazwiska *Miāsek*, *Miāsko*, *Miāsk* były notowane już w XV wieku (Taszycki, 1971, s. 448). Jak wspomniałem, w XVII stuleciu wśród rajców miejskich Ropczyc występowały nazwiska: *Miāso*, *Miāssso* i *Miāsovicz*. W XX wieku nazwisko to było nadal popularne. W latach 1901–1920 w księdze metrykalnej parafii ropczyckiej odnotowano 20 noworodków noszących nazwisko Miāso. Podobno w bitwie pod Obertynem (1531) wyróżnił się rycerz Jan Miāso. Ze zdobytych wówczas dział został odlany Dzwon Zygmunta.

Ziemia Ropczycka dała Polsce wielu ludzi nauki i kultury. W Ropczycach urodził się Józef Mehoffer (1869–1946), w Wielopolu Skrzyńskim Tadeusz Kantor (1915–1990), w Broniszowie Karol Olszewski (1846–1915), profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, który skroplił tlen, w Małej Tadeusz Sinko (1877–1966). Stąd pochodzili także wybitni historycy oświaty i nauki – wszyscy pochodzili ze wsi: profesor Stanisław Kot (1885–1975) – Uniwersytet Jagielloński, profesor Kazimierz Kubik (1910–1986) – Uniwersytet Gdański, profesor Stanisław Gawlik (1928–2010) – Uniwersytet Opolski, profesor Stanisław Litak (1932–2010) – Katolicki Uniwersytet Lubelski, profesor Józef Miāso – ur. 1930 (Uniwersytet Warszawski i Polska Akademia Nauk).

Przyszedłem na świat w małym domku, stojącym nad Wielopolką, jako czwarte, najmłodsze dziecko moich rodziców. W zachowanym szczęśliwie *Świadectwie Urodzenia i Chrztu (Testimonium Ortus et Baptismi)*, sporządzonym w języku łacińskim, napisano, że Urząd kościoła św. Michała zaświadcza, iż urodziłem się 10 lutego 1930 roku, a już 15 lutego zostałem ochrzczony przez proboszcza księdza Zygmunta Grodnickiego i otrzymałem dwa imiona: Józef Jan. Dokument ten stwierdza między innymi, iż jestem wyznania rzymsko-katolickiego i pochodzę z prawego łoża (*thorus legitimus*). Ta ostatnia informacja nie występuje już w dzisiejszych świadectwach urodzenia. Jej umieszczanie zostało zakazane dopiero w czasach Polski Ludowej. Przez kilka wieków dzieci urodzone poza związkiem małżeńskim były stygmatyzowane na całe życie. Tak zwanych bękartów nie dopuszczano do wielu zawodów, na przykład do korpusu

<sup>3</sup> Władysław Woźnik (1901–1959), aktor, reżyser teatralny; absolwent Miejskiej Szkoły Dramatycznej, wieloletni współpracownik Teatru im. Słowackiego i Teatru Cricot. Był dyrektorem Teatru im. Wyspiańskiego w Katowicach (1949–1951), Teatru Polskiego w Poznaniu (1951–1953), wicedyrektorem Teatru im. Słowackiego (1945–1946). Od 1946 także wykładowca Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie (Łopuszański, 2010, s. 46 i nast.; Terlecka-Reksnis, 2018, s. 82–83 i nast.).

oficerskiego, do stanu duchownego, a także do niektórych cechów rzemieślniczych. Już ustawa sejmowa z 1578 roku w bardzo zwięzły sposób stwierdza: *Extra matrimonium liberii nati sunt illegitimi (Dzieci zrodzone poza małżeństwem są z nieprawego łoża). Illegitimi, neque in bona, neque in nobilitate succedunt*, czytamy w tej ustawie, co znaczy, że „bękarty” nie mogą dziedziczyć po rodzicach ani statusu społecznego, czyli szlachectwa, ani też żadnych dóbr (Piekarski, 1813, s. 21–22).

Jako najmłodszy z dzieci, a do tego słabo rozwinięty fizycznie i chorowity, byłem oczkiem w głowie rodziców, zwłaszcza Mamy, która w sposób szczególny troszczyła się o moje zdrowie. Wychowywałem się nie tyle na podwórku, co w przydomowym, bardzo dużym ogrodzie, w którym można było nie tylko pograć w piłkę, ale też trochę pobiegać. Z ogrodu wychodziło się bezpośrednio na tor kolejowy i most na Wielopolce. Tory i szyny kolejowe bywały nieraz miejscem naszych dziecięcych zabaw. Nasz dom oddzielała od rzeki prowadząca przez całą wieś droga, przeważnie błotnista, na której ludzie czasami „gubili” buty. Dzisiaj jest to asfaltowa, bardzo ruchliwa i niebezpieczna dla mieszkańców, zwłaszcza dla dzieci, ulica nosząca imię jednego z obrońców Westerplatte – majora Henryka Sucharskiego. Do kościoła oraz do szkoły było niedaleko, około czterysta metrów. Naszymi najbliższymi sąsiadami byli państwo Kumanowie (Aniela i Józef, drobny rolnik i zarazem stolarz), Władysław (kuzyn mojej Mamy) i Wiktoria Stachnikowie oraz wdowa – pani Maria Bochenkowa, kobieta o wysokiej kulturze, mieszkająca w dużym, wielopokojowym, krytym blachą domu, którego połowę przeważnie wynajmowała.

Moje wspomnienia z wczesnego dzieciństwa ograniczają się tylko do niektórych wydarzeń, na tyle ważnych, że zapadły mi głęboko w pamięć. Nie wiem na przykład, kiedy nauczyłem się pływać. Po latach dowiedziałem się, że jako mały brzdąc wpadłem do Wielopolki, bardzo głębokiej w pobliżu naszego domu. Wyratowała mnie z tej opresji Mama i bezzwłocznie nauczyła sztuki pływania. Myślę, że miałem wówczas trzy, a najwyżej cztery lata. Dodać tu powinienem, że chyba wszystkie dzieci wychowywane nad rzeką potrafiły nieźle pływać. Dbali o to rodzice. Bardzo dobrze zapamiętałem natomiast dzień 16 lipca 1934 roku, dzień strasznej powodzi, która dokonała ogromnych spustoszeń w śródmieściu Ropczyc oraz w okolicznych wsiach, m.in. w Witkowicach. Musieliśmy wówczas opuścić nasz dom. Wujek Michał Pękala zaniósł mnie na swoich plecach przez most kolejowy do swojego domu, w którym wraz z Mamą spędziliśmy noc. Woda zalała wtedy setki hektarów dojrzewających już zbóż i roślin okopowych. Tego lata wielu rolników nie miało więc co zbierać podczas nadchodzących żniw. Z opowiadań rodziców wiem, że tylko amerykańska pomoc w postaci mąki i smalcu pozwoliła wielu ludziom przeżyć ten trudny dla nich rok.

W mojej pamięci utkwił też dzień pogrzebu Marszałka Józefa Piłsudskiego – 18 maja 1935 roku. Od rana Mama ponaglała ojca, by się pośpieszył, gdyż jako funkcjonariusz państwowy miał obowiązek uczestniczenia w uroczystościach



żałobnych w Ropczycach, które wtedy jeszcze były stolicą powiatu. Pochlipując, pytała ojca, z czego będziemy żyć, jeśli za złamanie nakazu zostanie zwolniony z pracy. Pamiętam, jak na lewy rękaw marynarki naszywała mu czarną, żałobną wstążkę. Czy na wsi panowała tego dnia żałoba? Chyba nie. Ludzie pamiętali przecież krwawe wydarzenia 1933 roku, kiedy to żandarmeria strzelała do zdeperowanych chłopów, wielu z nich zabijając.

W czasie wakacji, poczynając od 1935 roku, chodziłem do przedszkola, a ściślej do ochronki, mieszczącej się w pustej w owym czasie „wikarówce”, domku stojącym pomiędzy kościołem a plebanią. Kilkugodzinne zajęcia prowadzone przez młodą absolwentkę seminarium nauczycielskiego ograniczały się do zabaw i śpiewów w rodzaju *Stoi różyczka* czy *Lata ptaszek po ulicy...* Nie lubiłem ani tych zabaw, ani tej całej ochronki. Pragnąłem wraz ze Staszkiem, moim starszym bratem, chodzić do szkoły. Mama dała się przekonać i zapisała mnie do szkoły, mimo że ukończyłem tylko sześć, a nie siedem lat. Dodać tu trzeba, że istniejące przepisy dopuszczały możliwość – „w miarę wolnych miejsc” – wcześniejszego rozpoczynania nauki.

Szkoła Powszechna w Witkowicach, do której zacząłem uczęszczać we wrześniu 1936 roku, była zgodnie z tzw. ustawą jędrzejewiczowską z 11 marca 1932 roku szkołą I stopnia. Miała ona w ciągu siedmiu lat nauczania przekazać uczniom wiadomości z zakresu czterech klas, nieco tylko poszerzone. Nauka w I i II klasie miała trwać jeden rok, w III – dwa lata, a w IV – trzy lata. Szkoły tego rodzaju, bardzo liczne na ówczesnej wsi, nie otwierały drogi do dalszego kształcenia nie tylko w gimnazjach, lecz i średnich szkołach zawodowych. Zatrudniały tylko jednego nauczyciela, który uczył na zmiany po dwie klasy naraz w jednej izbie szkolnej. Nauka w tej sytuacji musiała się dzielić na cichą i głośną. Plan nauczania w pierwszej klasie obejmował następujące przedmioty: religia (2 godz.), język polski (7 godz.), arytmetyka z geometrią (4 godz.), rysunek i zajęcia praktyczne (1 godz.), śpiew i ćwiczenia cieleśne (1 godz.). Na cichą naukę języka polskiego przypadały 3 godz., a arytmetyki – 2 godz. Identyczny plan lekcji obowiązywał w drugiej klasie. W pierwszym półroczu uczniów I klasy nie wolno było obciążać zadaniami domowymi, nie otrzymywali też świadectw na zakończenie roku szkolnego.

Moja szkoła mieściła się w pięknym, starym budynku z czerwonej cegły, z ozdobnym frontonem, zakończonym wieżyczką, na której wisiała sygnaturka wzywająca uczniów na zajęcia lekcyjne. Zbudowana została w 1890 roku, a więc jeszcze za panowania cesarza Franciszka Józefa. Dziś liczy ponad sto dwadzieścia lat i z pewnością może uchodzić za jeden z najciekawszych zabytków dawnej architektury szkolnej nie tylko w skali Podkarpacia. Budynek składał się z dwu dużych, dobrze naświetlonych izb szkolnych oraz wygodnego mieszkania dla nauczyciela. Do szkoły – służącej dzieciom z Witkowic i Pietrzejowej – należał duży ogród, bardzo wówczas zaniedbany, oraz kawał urodzajnej ziemi, rozciągającej się wzdłuż rzeki Wielopolki. Stosunkowo skromna liczba uczniów (około 50) nasuwa przypuszczenie, że część dzieci z Górnych Witkowic oraz

Pietrzejowej korzystała z bliżej położonych szkół powszechnych, męskiej i żeńskiej, w Ropczycach.

Moją pierwszą i, niestety, fatalną nauczycielką była Janina Szypułowa. Jej mąż był urzędnikiem w magistracie albo w starostwie w Ropczycach i to zapewne przesądzało o tolerowaniu przez władze oświatowe takiego jak ona „pedagoga”. Niewiele pamiętam z tego, czego mnie nauczyła. Były to zapewne jakieś piosenki i wierszyki. Czytania, pisania i rachowania uczyłem się przede wszystkim w domu, z pomocą starszego rodzeństwa. Mama zachęcała mnie do głośnego czytania. Pani Szypułowa uczyła na zmianę po dwie klasy w jednej izbie szkolnej. Wiele czasu spędzała jednak nie wśród uczniów w klasie, lecz w swoim mieszkaniu, gdyż miała małe dziecko. My w tym czasie zajmowaliśmy się nie tyle cichą nauką, co różnorodnymi, przeważnie głośnymi zabawami. Pamiętam, że najbardziej wyrośnięty chłopiec z naszej klasy, który nazywał się Draus, skarżył się często nauczycielce, że „poseł” to się przezywa Dralalala. Chodziło o ucznia o nazwisku Stachnik, który był synem znanego posła na sejm, mieszkającego wówczas w Pietrzejowej, bliskiego współpracownika Wincentego Witosa – Franciszka Stachnika (1895–1981). Nieodłącznym atrybutem władzy pani Szypułowej nad uczniami był długi kij, którym okładała dzieci bez opamiętania po głowach i po plecach. Na szczęście uczyła nas tylko jeden rok. W czerwcu 1937 roku, już po przeniesieniu stolicy powiatu z Ropczyc do Dębicy, pojawił się w naszej szkole inspektor, który – w obecności nauczycielki – przez godzinę sprawdzał poziom naszych wiadomości i z pewnością nie był nim zachwycony. Na koniec zadał nam pytanie, czy pani czasem nas nie bije. Wówczas wspomniany już Draus odpowiedział, że bije nas prawie codziennie. Cała nasza klasa poparła go, krzycząc zgodnym chórem: – *Bije nas i to jeszcze jak!* Wizytacja szkoły przez inspektora położyła kres karierze nauczycielskiej pani Szypułowej, którą zwolniono w trybie natychmiastowym. Moim zdaniem odpowiedzialność za opisaną działalność „pedagogiczną” tej nauczycielki ponosiły ropczyckie władze. Przecież nie brakowało młodych, dobrze wykształconych absolwentek miejscowego Seminarium Nauczycielskiego, które latami oczekiwały na zatrudnienie. Pani Szypułowa wyrządzała wielką krzywdę dzieciom, gdyż obrzydzała im szkołę i skutecznie zniechęcała do dalszej nauki.

Po wakacjach władze przysłały do naszej szkoły młode małżeństwo państwa Jaworów. Kierownikiem szkoły został Jan Jawor, a jego żona objęła funkcję nauczycielki. Byli świetnie wykształconymi pedagogami i do tego społecznikami. Sadzę, że pan Jawor był najwybitniejszym nauczycielem w całej, dość długiej historii witkowskiej szkoły. Wiem, że pochodził ze wsi, ale nie z okolic Ropczyc czy Dębicy. Postaram się wymienić najważniejsze przedsięwzięcia oraz innowacje, które wprowadził w życie. Podzielił duży, zaniedbany i porośnięty chwastami szkolny ogród na kilkadziesiąt działek i przydzielił je uczniom, którzy je sami uprawiali, sadzili na nich różne rośliny i je pielęgnowali. Zbudował boisko szkolne i zakupił piłki do gry w dwa ognie. Stworzył też bibliotekę szkolną oraz organizował całodniowe wycieczki do lasu w Czarnej lub Kamionce. Dodajmy, że okolice Ropczyc były



terenami bezleśnymi. W upalne dni czerwcowe z całą klasą kąpał się w Wielopolce, która w pobliżu szkoły jest dość szeroko rozlana, ale płytka. Uczył wtedy sztuki pływania, którą uważał za niezbędną, choć zapewne nie wiedział, że już w starożytnej Grecji na pogardę zasługiwał człowiek, który nie umiał ani czytać, ani pływać. Dzięki jego staraniom powstała w szkole organizacja dziecięca „Orlęta” oraz – skupiający dorastającą młodzież – „Strzelec”. Za pośrednictwem szkoły zaczęliśmy prenumerować piśmisko „Płomyczek”, wydawane w Warszawie przez Związek Nauczycielstwa Polskiego. Nauczyciel przygotowywał nas też do zbliżającej się wojny, ucząc na przykład sprawnego wkładania maski przeciwgazowej. Pan Jawor nigdy nie wchodził do klasy z kijem w rękę, jak to czyniła jego poprzedniczka. Zdarzało się jednak, choć rzadko, że wymierzał kary w korytarzu za bardziej jaskrawe przewinienia, co przeważnie spotykało się z aprobatą uczniów. Zdaje się, że czynił to dopiero w latach okupacji, kiedy to pedagogika niemiecka zalecała kary cielesne. Mistrzem w posługiwaniu się kijem był za to ksiądz proboszcz Jan Jarosz, który bił dzieci bez opamiętania po dłoniach, po plecach, a nawet po głowie. Z tego powodu baliśmy się lekcji religii, na których trzeba było poprawnie recytować różne części katechizmu, by „nie dostać po łapie”. Jak sadzę, winę za nagminne stosowanie kar cielesnych w szkole, przecież oficjalnie zakazanych przez władze odrodzonej Polski, ponosili rodzice, którzy takie kary stosowali wobec swoich dzieci, wierząc, że kij jest bardzo skutecznym środkiem wychowawczym.

Pan Jawor dbał o czystość pomieszczeń szkolnych oraz o higienę osobistą i schludny wygląd uczniów. Pewnego razu przyniósł do klasy maszynkę i wszystkim uczniom, którzy mieli zbyt długie i rzadko myte czupryny, wystrzygł nią „ścieżki”, zaczynające się od czoła, a kończące na karku. Lekcje przez niego prowadzone były przeważnie ciekawe, gdyż poszerzały naszą wiedzę o ówczesnej Polsce. Dowiadaliśmy się z nich o głównych łańcuchach górskich i najwyższych szczytach, o polskim morzu, o Śląsku, wreszcie o nowych zakładach przemysłowych na terenie budowanego wtedy Centralnego Okręgu Przemysłowego. Byliśmy dumni z naszej Gdyni i polskich okrętów, a także z czynu legionowego. Czciliśmy pamięć spoczywającego na Wawelu Marszałka Piłsudskiego. Kochaliśmy nie tylko *Dziadka*, lecz i prezydenta Ignacego Mościckiego. W dniu imienin Pana Prezydenta, które przypadały 1 lutego, uczestniczyliśmy w porannej mszy św. Pamiętam, że w 1938 roku cała nasza klasa brała udział w wielkim patriotycznym pochodzie dzieci i młodzieży odbywającym się w Ropczycach 11 listopada – w dniu Święta Niepodległości.

Niektóre lekcje prowadzone przez pana Jawora były bardzo oryginalne. Nauczyciel, pragnąc poznać bliżej środowisko społeczne, w którym przyszło mu pracować, bądź też zgromadzić materiał do projektowanej kroniki szkolnej, wypytywał nas o wydarzenia, które miały miejsce w naszych rodzinach, u sąsiadów bądź w ogóle na wsi. Pamiętam, że najwięcej relacji o różnych wypadkach dotyczyło spraw dzieciom najbliższych, na przykład chorób bydła i koni. Bywały też lekcje, na których to my mogliśmy zadawać nauczycielowi pytania. Utkwiła mi w pamięci jedna z takich lekcji, jaka odbyła się wiosną 1939 roku, na której

padło pytanie, dlaczego chłopci musieli odrabiać pańszczyznę. Odpowiedź nauczyciela nie przekonała chyba nikogo. Nasza wiedza historyczna, wynoszona z rodzinnego domu, całkowicie różniła się bowiem od historii oficjalnej, przekazywanej przez szkołę. Jego zdaniem szlachta broniła ojczyzny, wyruszając na bardzo długie nieraz wyprawy wojenne, a chłopci, jako zwolnieni od tego obowiązku, musieli uprawiać pańską ziemię.

W czerwcu 1939 roku otrzymałem świadectwo szkolne, podpisane przez Jana Jawora, które stwierdzało, że uczęszczałem „do klasy trzeciej rocznik pierwszy” oraz, że przechodzę „na drugi rok nauki w klasie trzeciej z wynikiem pomysłnym”. Na tle naszej klasy byłem raczej dobrym niż przeciętnym uczniem. Na moim świadectwie figuruje tylko jedna ocena bardzo dobra, ze sprawowania. Czwórki miałem z religii i języka polskiego, a trójki z nauki o przyrodzie i arytmetyki z geometrią. Z przedmiotów określanych przez uczniów mianem „michałków” miałem same czwórki (rysunki, zajęcia praktyczne, śpiew i ćwiczenia cielesne). Samo świadectwo kosztowało 8 groszy, ale aby je otrzymać, należało jeszcze wykupić znaczek za 10 groszy, które miały być przeznaczone na budowę szkół powszechnych.

Wybuch wojny nie zachwiał dziecięcej wiary w siłę polskiej armii oraz walczność naszego żołnierza, wpajanej nam przez szkołę oraz przez oficjalną propagandę. Plakaty z hasłem *Silni, zwarci, gotowi* wisały na drzwiach wielu stodół. Rychło jednak mieliśmy doznać wszystkich okropności nadchodzącego katalizmu. Witkowice nie były miejscowością peryferyjną. Przez środek wsi przechodziła najważniejsza w byłej Galicji magistrała kolejowa oraz bity gościniec. Przejeżdżały tędy liczne transporty wojskowe oraz tysiące cywilów podążających w panice na wschód. Wiele pociągów miało – czasem dość długie – postoje obok naszego domu. Na początku wojny pojawił się mały oddział polskich żołnierzy, którzy mieli bronić mostu kolejowego na Wielopolce. Na apel ich oficera o pomoc przy budowie okopów stanęła z łopatami prawie cała młodzież wiejska, nie tylko chłopcy, lecz i dziewczęta z moją siostrą Marysią na czele. Żołnierze byli wyposażeni w trzy ciężkie karabiny maszynowe, działek przeciwlotniczych nie mieli.

W pierwszych dniach września 1939 roku po raz pierwszy zobaczyłem niemieckie samoloty. Wraz z kilkoma rówieśnikami przebywałem w Rakowcu, czyli na rozległych polach, graniczących z Borkiem Wielkim oraz z Sędziszowem. Na widok eskadry myśliwców, które gwałtownie zniżyły swój lot, zaczęliśmy machać w ich stronę rękami. Leciwały tak nisko, że mogliśmy zobaczyć twarze pilotów. Wcześniej jednak dostrzegliśmy ich niemieckie oznakowania. Jak na komendę padliśmy wszyscy na ziemię. Usłyszeliśmy wówczas długie serie z karabinów maszynowych. Dodam, że nikogo oprócz nas, czterech małych chłopców, w pobliżu wtedy nie było. Ten straszny moment utkwiał szczególnie głęboko w mojej pamięci. Jeśli te serie miały nas tylko zastraszyć, to strzelanie do dzieci było przecież aktem zbrodniczym. Wiadomo, że Hitler, wysyłając swoje dywizje na wojnę z Polakami, nakazywał im zabijać bez litości również kobiety i dzieci. Ledwo po powrocie do domu zdążyliśmy opowiedzieć Mamie o naszej

przygodzie w Rakowcu, na bezchmurnym niebie pojawiły się niemieckie bombowce. Na torze kolejowym stał wtedy wojskowy pociąg towarowy. Żołnierze zaczęli kryć się za pobliskimi drzewami, wielu schowało się pod wagonami. Żadna z kilkunastu z rzuconych wówczas bomb nie spadła na pociąg ani na most kolejowy. Uderzyły za to w wiejskie chałupy stojące w pobliżu torów. Nalot ten był klasycznym aktem terrorystycznym, wymierzonym przeciwko cywilnej ludności. Kolej i mosty miały się przecież za kilka dni znaleźć w rękach niemieckich, więc nie należało ich burzyć bombami. Dwa dni później niemieckie bomby zamieniły ogromną część Ropczyc w gruzy i zgliszcza. Zginęło wielu mieszkańców oraz żołnierzy. Najbardziej ucierpiało centrum miasta. Północna pierzeja Rynku przestała istnieć, dziś są tam małe planty.

Oddziały niemieckie wkroczyły do Ropczyc 8 września 1939 roku i w szybkim tempie parły na wschód. Nad gościńcem, którym dzień i noc posuwały się czołgi i opancerzone samochody, unosiły się ogromne tumany kurzu. Ludziom obserwującym to zjawisko z odległości jednego kilometra wydawało się, że to Niemcy wypuścili gaz trujący. Dwa dni później oddziały Wehrmachtu dosłownie zalały Witkowice, wyznaczając tu sobie krótki postój. Pod naszym domem stanęły dwa samochody terenowe, wyładowane dużymi kartonami zrabowanych w mieście papierosów, a w ogrodzie zostały rozbite wojskowe namioty. Pamiętać trzeba, że były to upalne dni wrześniowe. Pierwsi Niemcy, których wówczas zobaczyłem, nie sprawiali złego wrażenia. Zachowywali się wobec nas zupełnie poprawnie. Dorosłych częstowali papierosami, a dzieci czekoladkami. Pamiętając przestrogi pana Jawora, który mówił nam, że cukierki niemieckie będą z pewnością zatrute, a wieczne pióra zaczną wybuchać w naszych dłoniach, nie chciałem przyjąć dawanej mi czekoladki. Wówczas ten żołnierz zjadł kawałek czekolady, pogłaskał się po brzuchu i powiedział po polsku: „Miało takie, miało”. To przełamało mój opór.

Po wybuchu wojny i zajęciu Polski przez Niemców zajęcia szkolne rozpoczęły się dopiero w końcu października 1939 roku. W pierwszym roku niemieckiej okupacji nasza szkoła została przekształcona w placówkę dwuklasową, ale nie wiem, czy stało się to na mocy wcześniejszej decyzji polskich władz oświatowych, czy też za zgodą administracji niemieckiej. Pojawili się też nowi nauczyciele. Wychowawcą mojej klasy został pan Franciszek Kazała, wysiedlony z Bydgoszczy, który zamieszkał u swojej dość zamożnej rodziny w Witkowicach. Był lubiany przez uczniów, gdyż nigdy nie podnosił na nich głosu, a ponadto bardzo ciekawie potrafił opowiadać o Polsce, jej miastach, zwłaszcza o Bydgoszczy, wreszcie o kinach i teatrach, czyli instytucjach zupełnie nam nieznanymi. Kierownikiem szkoły był nadal pan Jawor. On to pierwszego dnia nauki pod okupacją niemiecką wszedł do naszej klasy i rozkazał wspomnianemu wcześniej Drausowi zdjąć ze ściany godło państwowe oraz portrety Piłsudskiego, Mościckiego i Rydza Śmigłego. W grudniu 1939 roku kazał nam przynieść do szkoły i złożyć wszystkie podręczniki szkolne, które skwapliwie zebrał, obiecując ich zwrot po zakończeniu wojny. Nigdy jednak tego nie uczynił. Gdy zabrano nam polskie podręczniki, lekcje stały się nudne,

poziom nauczania wyraźnie się obniżył i pojawiło się zjawisko masowej absencji uczniów. By ich przyciągnąć do szkoły, pan Jawor postanowił przeczytać na lekcjach całego *Robinsona Crusoe*. To było skuteczne lekarstwo na absencję. Na polecenie kierownika przynosiliśmy z domu książki do nabożeństwa, których fragmenty głośno czytaliśmy na lekcjach języka polskiego.

Po czterech latach nauki w miejscowej szkole wiejskiej otrzymałem świadectwo, które zawierało stwierdzenie, iż przechodzę „do IV klasy rok II”. Miałem na ogół niezłe stopnie: dwie piątki, sześć czwórek i tylko jedną trójkę (arytmetyka z geometrią), mimo iż opuściłem aż 75 godzin lekcyjnych. Było to moje pierwsze dwujęzyczne, niemiecko-polskie świadectwo szkolne (*Schulzeugnis*) z następującym nadrukiem: *Generalgouvernement Für Die Besetzten Polnischen Gebiete* (*Generalne Gubernatorstwo dla okupowanych obszarów polskich*). Następne świadectwa miały już tylko jeden, niemiecki nadruk: *Generalgouvernement*. W 1940 roku zakończyłem edukację początkową w Witkowicach i, podobnie jak moje starsze rodzeństwo, zostałem zapisany przez rodziców do piątej klasy siedmioklasowej, a więc pełnowartościowej szkoły powszechnej w Ropczycach. Większość uczniów kończących wraz ze mną czwartą klasę pozostała jednak w szkole witkowskiej, której poziom nauczania był nadal raczej niski. Mogłem to zauważyć tuż po wojnie, gdy wielu byłych kolegów z ławy szkolnej spotkałem w ropczyckim gimnazjum.

We wrześniu 1940 roku, jako dziesięcioletni chłopiec, zacząłem uczęszczać do koedukacyjnej siedmioklasowej Szkoły Powszechnej im. Jana Kasprowicza w Ropczycach, która przed wojną była szkołą męską. Codziennie trzeba mi było pokonywać na piechotę blisko trzy kilometry, jakie dzieliły mój dom rodzinny od szkoły zlokalizowanej przy niebrukowanej ulicy Stawisko. Od tej pory przez prawie dziesięć lat chodziłem do szkoły podstawowej oraz do szkół średnich w tym właśnie małym galicyjskim miasteczku, którego jedynym bogactwem były dobre szkoły i niezli nauczyciele.

Gdy rozpoczynałem swoją naukę w Ropczycach, miasteczko robiło bardzo przygnębiające wrażenie. Nie było tego gwaru na ulicach, jaki pamiętałem sprzed wojny. Wszystkie większe sklepy żydowskie były już zamknięte, czynne były jeszcze nieliczne małe sklepiki, jak ten „Na schodkach”, w którym kupowaliśmy różnorodne ozdoby choinkowe, zwłaszcza główki aniołków. Dzieciom żydowskim wstęp do szkół został zabroniony. Przychodziły czasem popatrzeć na boisko szkolne, na którym grali w piłkę ich polscy koledzy. W 1942 roku ludność żydowska z Ropczyc i Wielopola została przesiedlona do getta w Sędziszowie, skąd wkrótce trafiła do obozu zagłady w Bełżcu.

Szkoła ropczycka wyróżniała się przed 1939 rokiem wysokim poziomem nauczania. W latach okupacji realizowała bardzo okrojony przez Niemców program nauczania, który nie tylko nie dawał uczniom podstawowego wykształcenia ogólnego, ale też nie rozbudzał w nich głębszych aspiracji do dalszego kształcenia się. Nie wolno było nauczać literatury polskiej, historii i geografii. Nie uczono nas też języka niemieckiego, gdyż hitlerowcy nie zamierzali germanizować

Polaków, którzy jako, ich zdaniem, bezwartościowi z rasowego punktu widzenia mieli być w przyszłości całkowicie wytępieni. Rolę podręcznika do nauki języka polskiego odgrywał wydawany przez Niemców w Krakowie od roku szkolnego 1940/41 miesięcznik *Ster*, który zobowiązywani byliśmy prenumerować. Czytanka zamieszczane w tym czasopiśmie służyły głównie gloryfikacji dokonania Niemców w dziedzinie cywilizacji. Jediną pozycją z polskiej literatury pięknej omawianą legalnie na lekcjach była nowelka Bolesława Prusa pt. *Antek*.

Szkoła, wtedy już kierowana przez dyrektora Bogusława Sadowskiego, zatrudniała kilkunastu nauczycieli, przeważnie dobrze wykształconych. W mojej pamięci zapisało się tylko kilku z nich. Najbardziej lubiłem panią Marię Gątkiewiczową, wdowę po wieloletnim dyrektorze szkoły ropczyckiej, zasłużonym działaczu nauczycielskim jeszcze za czasów austriackich. Słynęła ona z wyławiania talentów spośród uczniów wywodzących się ze wsi i kierowania ich do właściwych szkół, przeważnie artystycznych. Kilkakrotnie zapraszała po lekcjach do swojego domu i mnie, i Staszka, częstując nas herbatą i ciasteczkami. Gdy w szkole św. Mikołaj rozdawał prezenty, przyniesione wcześniej przez rodziców, myśmy obaj ze Staszkiem również otrzymali paczuszki przygotowane przez panią Gątkiewiczową. Lubiałem też wychowawcę mojej klasy, pana Stanisława Jeczenia, który uczył m.in. języka polskiego, prowadził też chór szkolny. Jego syn, zmarły (2001) w młodym wieku, Maciej Jeczeń, absolwent łódzkiej „Filmówki”, był jednym z najwybitniejszych polskich dokumentalistów filmowych. Dobrze zapisał się w mojej pamięci również Franciszek Bączyński. Na jego lekcjach nie omawialiśmy treści artykułów zamieszczanych w miesięczniku *Ster*, lecz słuchaliśmy głośnego czytania – w wykonaniu naszych koleżanek – utworów polskich pisarzy, zwłaszcza nowel Henryka Sienkiewicza (*Janko Muzykant*, *Stary sługa*, *Hania*, *Organista z Ponikły* i innych). Przy tej okazji dowiadaliśmy się, kim byli Adam Mickiewicz czy Henryk Sienkiewicz. Żadnych jednak usystematyzowanych wiadomości o polskiej literaturze szkoła dać nam nie mogła. Jeszcze gorzej było z naszą wiedzą historyczną, całkowicie w szkole nieobecną.

W 1943 roku otrzymałem świadectwo ukończenia szkoły powszechnej (Schul-Entlassungszeugnis), na którym z najważniejszych przedmiotów, z wyjątkiem religii, miałem same trójki. Opuszczonych godzin miałem 105, ale rok wcześniej było ich aż 134. Pamiętam, że gdy wychodziłem z gmachu szkolnego, a było to 30 czerwca 1943 roku, przy wejściu stał oddział żołnierzy niemieckich, szykujących się do zajęcia budynku na swoje tymczasowe koszary. Jeden z nich wyrwał mi z ręki świadectwo i po zapoznaniu się z jego treścią oświadczył, że gdyby był moim ojcem, to by mnie zabił. Ukończenie tej szkoły sprawiło mi wielką ulgę. Nie musiałem już, często głodny, wędrować do Ropczyc po śniegu i błocie w ciężkich drewniakach. Prawdziwa moja edukacja rozpoczęła się dopiero w 1943 roku w warunkach domowych.

Lata niemieckiej okupacji na trwałe przechowała moja pamięć. Prześladowania, a następnie całkowita zagłada ropczyckich Żydów, którzy stanowili ponad



trzydzieści procent ogółu mieszkańców miasta, była przedmiotem cichych rozmów i komentarzy w rodzinnym domu. W szkole natomiast nic się na ten temat nie mówiło ani w czasie wojny, ani po wojnie. A przecież Ropczyce były ważnym ośrodkiem żydowskiej kultury i życia religijnego. O słynnym cadyku z Ropczyc pisze między innymi amerykański pisarz, laureat nagrody Nobla Isaac Bashevis Singer w swojej powieści *Szosza*. Miasto wyraźnie posmutniało, gdy zabrakło w nim gwarnej ludności żydowskiej. Teraz o ich niedawnej obecności świadczą tylko chodnik w śródmieściu z macew pochodzących ze zdewastowanego cmentarza. Dobrze pamiętam masową hitlerowską akcję propagandową, stanowiącą wstęp do „ostatecznego rozwiązania” kwestii żydowskiej. Całe miasto było wówczas oblepione ogromnymi, kolorowymi plakatami, ukazującymi Żydów jako największe zło tego świata. Apelowaly one do mieszkańców: *Stań, poczytaj widzu miły, jak cię Żydy omamiły*.

Moja rodzina przeżyła straszny czas okupacji, ale zaznała wiele biedy. Ojciec pracował nadal jako dróżnik, zarabiając nędzne grosze. Niejeden raz wracał do domu pobity przez Niemców. Kiedy zaczęła się akcja przymusowego wysyłania młodzieży na roboty do Niemiec, pierwszą jej ofiarą miało się stać moje rodzeństwo. Dobrze pamiętam mroźny styczniowy wieczór 1941 roku, kiedy to przyszedł do naszego domu sołtys Witkowiec, Józef Feret. Zwracając się do mojej siostry Marysi i brata Janka, powiedział: *Kochane dzieci. Nic nie jesteście mi winne, ale oboje musicie pojechać do Niemiec* i wręczył im pisemne wezwania. Marysia wybuchła płaczem, a Janek ją skarcił, krzyżąc: *Nie płacz, przecież jeszcze diabeł po ciebie nie przyszedł, to tylko jego wysłannik*. Żadne z nich nie zamierzało jednak podporządkować się wezwaniom. Zaczęli się więc ukrywać. Gdy polowania niemieckiej policji nie przyniosły rezultatu, pewnego zimowego dnia nasza Mama została aresztowana i osadzona w piwnicy gmachu policji w Dębicy. Jako warunek jej uwolnienia Niemcy postawili zgłoszenie się na wyjazd przynajmniej jednego z rodzeństwa. W tej sytuacji Janek udał się do Arbeitsamtu, czyli okupacyjnego Urzędu Pracy w Dębicy, skąd wraz z dużą grupą młodzieży został pod eskortą przewieziony do Krakowa, skąd uciekł do domu.

Zimą 1941 roku policjanci niemieccy i polscy urządzili wielką nocną obławę na osoby wyznaczone na wyjazd do Niemiec, w wyniku której w ich ręce wpadła również moja siostra Marysia. Przewieziono ją do Dębicy i ulokowano tymczasowo, wraz z innymi dziewczętami, w budynku gimnazjum. Pilnował ich stary „granatowy” policjant, który w nocy szybko zasnął na krześle albo tylko udawał, że śpi. Wykorzystały to dziewczyny, które otworzyły okno na parterze gmachu szkolnego i uciekły. Jednak Marysia do domu już wrócić nie mogła. Wyjechała więc do Krakowa, gdzie zaopiekowali się nią nasi krewni, głównie wujek Michał Woźnik, ojciec aktora. Oni też załatwili jej pracę w holenderskiej firmie budowlanej, mieszczącej się przy ulicy Grzegórzeckiej. Do domu powróciła dopiero w sierpniu 1944 roku, gdy Armia Czerwona zbliżała się już do wschodniej granicy województwa krakowskiego. W listopadzie 1943 roku,

dzięki zaproszeniu Marysi, po raz pierwszy zobaczyłem Kraków. Zwiedziłem wówczas, raczej powierzchownie, tylko centrum miasta. Byłem m.in. w kościele Mariackim oraz w Sukiennicach. Uderzały mnie liczne grupy cywilnej ludności niemieckiej, szczególnie kobiet i dzieci, zachowujących się bardzo głośno nie tylko w Sukiennicach, ale i na Rynku. W mojej pamięci zapisały się na trwałe: kościół Mariacki, Sukiennice i konne dorożki, którymi jeździłem pierwszy raz w życiu. Od tamtego czasu Kraków pozostaje dla mnie najpiękniejszym i najbardziej umiłowanym polskim miastem. Czasami miewam żal do losu, że nie pozwolił mi w tym właśnie grodzie podjąć uniwersyteckich studiów.

Ostatni rok okupacji, który spędziłem w rodzinnym domu, całkowicie wolny od obowiązku uczęszczania do niezbyt lubianej szkoły, był dla mnie czasem intensywnego samokształcenia, które niewątpliwie wywarło duży wpływ na późniejszą moją drogę życiową. Największą przyjaciółką, której nigdy nie odstąpiłem, stała mi się teraz książka. Przygoda z nią zaczęła się od ważnej lektury podręczników do pierwszej klasy gimnazjum, z których korzystała przed wojną moja siostra. W ten sposób zaznajomiłem się z historią starożytnej Grecji i mitami greckimi, poznałem ważniejsze wydarzenia z historii Polski i jej kultury. Dowiedziałem się nieco o geografii Polski. Tych rzeczy w szkole ropczyckiej przecież nas nie uczono, książek do czytania też nie zalecano. Wśród książek, które wówczas codziennie czytałem, najważniejszą pozycję zajmowała literatura piękna, w pierwszej kolejności polska proza, zwłaszcza utwory Henryka Sienkiewicza, Stefana Żeromskiego i Bolesława Prusa. Autorów wielu lektur nie pamiętam, gdyż moją uwagę zwracałem wówczas na treść i tytuł, a nie na autorów, o których zwykle bardzo mało albo zgoła nic nie wiedziałem. Zapamiętałem tylko niektórych, jak na przykład Teodor Tomasz Jeż (właściwie: Zygmunt Fortunat Miłkowski), którego dwie powieści (*Uskoki* i *Narzęczona Harambaszy*) utkwily głębiej w mojej pamięci. Opisują one ruchy niepodległościowe w krajach południowosłowiańskich w XIX wieku. Jeszcze i dziś powtarzam sobie fragment z *Narzęczonej Harambaszy*, który brzmi: *Zabili hajducy kapitana, a kiedyż go zabili, wczoraj z rana*. Przeczytałem wiele książek o Indianach, na przykład *Ducha Puszczy*, oraz o bohaterach Dzikiego Zachodu. Mojej uwadze nie uszły zapewne książki Karola Maya, ale konkretnych tytułów nie potrafię wymienić. Jeszcze dziś zdarza mi się wywołać z pamięci postać szlachetnego kowboja, nazywanego *Gwiżdżącym Danem*. Wspominałem go również w czerwcu 1967 roku, gdy przez wiele godzin podróżowałem autokarem przez pustynię Nevada.

Wiele książek otrzymywałem z prywatnych księgozbiorów zaprzyjaźnionych mieszkańców Ropczyc. Korzystałem też z dość bogatych zbiorów biblioteki parafialnej, mieszczącej się na plebanii w Witkowicach. Nasz proboszcz, ksiądz Jan Jarosz, osobiście wypożyczał książki w każdą niedzielę po nie-sporach. Dobierał mi nie tylko żywoty świętych, jak św. Teresa czy Izydor Oracz, lecz też publikacje na temat misji i działalności cywilizacyjnej misjonarzy w różnych częściach świata. Te ostatnie lektury były dla mnie szczególnie

pasjonujące, gdyż ukazywały życie w dalekich krajach, o których wcześniej nie miałem żadnego pojęcia.

Jako mieszkający na tzw. Księżych Budach, czyli w pobliżu kościoła parafialnego, pełniłem wówczas, podobnie jak moi koledzy z najbliższego sąsiedztwa, funkcję ministranta. Moje kontakty z naszym księdzem proboszczem były na ogół dobre. Powoli zacierały się w mojej pamięci lekcje religii w szkole witkowskiej, na których ksiądz Jarosz dość często używał kija bądź linii. Gdy już przeniosłem się do szkoły powszechnej w Ropczycach, interesował się wyborem moich lektur. Po zakończeniu szkolnej edukacji często podsuwał mi różne książki, gdyż uważał, że jako nieuczęszczający już do żadnej szkoły powinienem dużo czytać. Wciągał mnie też do różnych akcji charytatywnych, organizowanych zwykle pod auspicjami tolerowanej przez Niemców Rady Głównej Opiekuńczej (RGO), która miała swoją siedzibę w Krakowie. Jeździliśmy po wsiach jednokonną furką powożoną przez proboszcza, na którą pakowaliśmy darowane przez mieszkańców ziemniaki, różne kasze, buraki, marchew, mąkę oraz ziarno. Dary te były następnie przekazywane do kuchni obozu koncentracyjnego w Pustkowie koło Dębicy, w którym obok Polaków byli przetrzymywani jeńcy radzieccy.

Przez cały czas okupacji w Witkowicach Niemców można było spotkać prawie codziennie. Przez wieś przechodziła ważna szosa, którą ciągnęły na wschód liczne zmotoryzowane jednostki. Często zatrzymywały się na krótki postój, zajmując na ten cel szkołę, budynki dworskie oraz parafialne. Dobrze zapamiętałem oddział niemiecki, złożony prawie z samych młodych Bawarczyków, głównie studentów, wśród których był katolicki kapelan. W dzień Bożego Ciała odprawił on w naszym kościele uroczystą mszę św. dla niemieckich żołnierzy. Mieli oni swoich ministrantów oraz organistę. Ogromna większość uczestników tego nabożeństwa przystępowała do komunii. Ksiądz kapelan był prostym szeregowcem, nie korzystał z żadnych przywilejów. Mszę św. wolno mu było odprawiać tylko cztery razy w roku. Opowiadał o tym mojemu ojcu podczas odwiedzin w naszym domu. Zostawił nam na pamiątkę niemiecki modlitewnik pt. *Weg zum Himmel* (*Droga do nieba*).

Dość często można było też spotkać żołnierzy niemieckich przewożonych w kierunku wschodnim pociągami towarowymi. Zdarzało się, że bywały one zatrzymywane na przymusowy postój w pobliżu naszego domu. Wielu chłopców, ja również, handlowało z nimi, sprzedając im jajka za papierosy i ustne organki zwane drumlami. W tym czasie popełniłem podły, moim zdaniem, czyn, którego się wstydzę do dziś. Otóż pewnego letniego dnia 1942 roku zatrzymał się jadący ze wschodu niemiecki pociąg Czerwonego Krzyża, złożony z samych pulmannowskich wagonów, w których przewożeni byli ranni Niemcy. Moi starsi koledzy zauważyli długi i gruby skórzany pas pod jednym wagonem, napędzający w czasie jazdy prądnicę elektryczną. Dali mi bardzo ostry scyzoryk i kazali przeciąć ten pas. Byłem wówczas małym chłopcem. Wszedłem więc bez trudu pod wagon i wykonałem ich polecenie. Gdy pociąg ruszył, pas pozostał na torze kolejowym.

Dostałem kawałek zdobytej w ten sposób skóry, ale na zelówki ona się nie nadała. Wagon wiozący rannych został pozbawiony prądu.

Wiosną 1944 roku wyczuwało się już zbliżający się kres niemieckiego panowania. Jadące ze wschodu pociągi oraz samochody ciężarowe przeładowane były nie tylko uszkodzonym sprzętem wojskowym, lecz i zrabowanymi dobrami materialnymi. W ostatnich miesiącach okupacji Niemcy zarekwirowali Polakom tysiące krów i koni, ale duża część tych zwierząt została im odebrana przez czerwonarmistów w okolicach Dębicy, jednak do polskich właścicieli już nie powróciła. Widziałem ogromne stada krów pędzonych przez rosyjskich czabanów do ich kraju. Tą samą drogą prowadzono zabrane niedawno konie. Wielu rolników, po zakończeniu działań frontowych, miało kłopoty z uprawą swojej ziemi, gdyż nie posiadali siły pociągowej. Dopiero po zakończeniu wojny niektórzy z nich otrzymali w darze amerykańskie konie.

Gdy zbliżało się lato 1944 roku, mieszkańcy Witkowic zaczęli się zabezpieczać na wypadek działań wojennych. Podobnie zachowali się moi rodzice, którzy wraz z najbliższym sąsiadem, panem Kumanem, postanowili wybudować na jego posesji schron w postaci dużej piwnicy, mogący pomieścić dwie rodziny, łącznie dwanaście osób. Został on przykryty szynami oraz podkładami pochodzącymi z kolejowego nasypu znajdującego się obok naszego domu. W tym to schronie, wyłożonym słomą, przeżyliśmy ponad dwa tygodnie. Przeżyliśmy, ponieważ mieliśmy wyjątkowe szczęście. Pod koniec lipca Armia Czerwona zajęła miasteczko Sędziszów Małopolski, leżący niecałe cztery kilometry od Witkowic. Ropczyce wtedy znajdowały się jeszcze w rękach Niemców. Nasza wieś znalazła się więc pomiędzy dwiema walczącymi armiami. Wstępem do rozpoczynającej się bitwy było wysadzenie przez Niemców mostu na Wielopolce oraz niemal całkowite zniszczenie, przy pomocy specjalnych maszyn, szyn i podkładów kolejowych. Uprzedzeni przez niemieckich wartowników mostu o planowanej akcji uciekliśmy aż w pobliże Ropczyc. Gdy powróciliśmy następnego dnia, zobaczyliśmy przerażający widok. Nasz dom nie miał dachu ani okien. Rzeką płynęły tysiące ogłuszonych ryb. Z pięknego, żelaznego mostu, zbudowanego przez Austriaków w połowie XIX stulecia, uchodzącego za dzieło sztuki, pozostały tylko małe, powyginane stalowe fragmenty jego konstrukcji oraz stosy kamieni.

Dość wysoki nasyp kolejowy osłaniał nas od kul rosyjskich. Korzystali z tego również Niemcy, którzy przechodzili tą drogą z linii frontu, prowadząc czasami lżej rannych. Ci na ogół traktowali nas poprawnie, nie kryjąc przy tym swoich antywojennych poglądów. Jeden z nich, student z Bawarii, nie chciał wracać do okopów i cały dzień oraz noc przesiedział w naszym schronie. Pokazywał nam swoje dokumenty, zdjęcia rodzinne oraz radziecką ulotkę, która zapowiadała lepsze traktowanie jeńców ją posiadających. Zналиśmy te ulotki, gdyż nasze podwórko było nimi zasypane. Zrzucały je nocą radzieckie kukuruźniki. Po spędzeniu z nami całej doby Bawarczyk uznał, że naraża nas wszystkich na wielkie niebezpieczeństwo i wrócił na front. Nie był tam długo. Wieczorem przyprowadził

go, rannego w nogę, inny Niemiec. Mojemu ojcu przyznał się, że sam postrze-  
lił się w udo, zasłaniając je przed prochem bochenkiem chleba. Liczył, że w szpi-  
talu pobędzie ze trzy tygodnie i tam doczeka końca wojny. Był to bardzo naiwny  
młody człowiek.



Fot. Eugeniusz Kuman

Szkoła Podstawowa w Witkowicach.

Rosjanie co kilka dni prowadzili straszliwy ostrzał z armat i katiusz, zwa-  
nych przez Niemców „organkami Stalina”. Większość pocisków nas, na szczę-  
ście, omijała, ale kilka domów zostało spalonych, zginęły też całe rodziny.  
Nocą samoloty radzieckie zrzuciły bomby. Jedna spadła na nasz ogród, dru-  
ga – kilkadziesiąt metrów od schronu, w którym się ukrywaliśmy, pozosta-  
wając olbrzymi, głęboki lej. W momencie eksplozji tej bomby wydawało nam  
się, że cały nasz, dość głęboki schron uniósł się w powietrze. Pewnej bardzo  
cieplej nocy (22 sierpnia), po gwałtownym ataku katiusz, strzelanina zupeł-  
nie ucichła. Rano pojawiło się na naszym podwórku trzech czerwonoarmistów.  
Dowodził nimi oficer, który trzymał w dłoni, gotowy do strzału, ogromny na-  
gan. Zajrzeli do naszego schronu, pytając o „germańców” i poszli dalej, sprawd-  
zając dom po domu. Za nimi dopiero pokazywały się coraz liczniejsze grupy  
bardzo zmęczonych żołnierzy, którzy pytali nas, gdzie są „germańcy” i jak  
daleko jest stąd do Berlina. Wieczorem Witkowice zostały zalane całą masą  
sołdatów. Zachowywali się przyzwoicie. Grali pięknie na „harmoszkach” i tań-  
czyli na trawnikach. Muszę tu dodać, że podczas tych tańców w pobliżu padały  
jeszcze niemieckie pociski.



Chcąc zobaczyć teren zakończonej nocą bitwy, udałem się z dwoma starszymi braćmi, Jankiem i Staszkiem, w kierunku Sędziszowa. Zobaczyliśmy wielu zabitych Niemców i Rosjan. Nie zapomnę martwego, młodziutkiego żołdaka, leżącego na plecach, który trzymał lewą dłoń na czole, jakby zasłaniał swoje oczy od słońca. Widzieliśmy też wiele spalonych czołgów, przeważnie radzieckich. Całe pole niedawnej bitwy zasłane było różnego rodzaju bronią, głównie niemiecką, oraz nabojami do karabinów i pistoletów, a także ręcznymi granatami. Podniosłem leżący w trawie jeszcze ciepły i dobrze naoliwiony niemiecki pistolet marki Vis, czyli tzw. dziewiątkę. Janek zaraz mi ją odebrał i schował do kieszeni. Jako żołnierz Armii Krajowej umiał się z taką bronią obchodzić. Nie znam dalszych losów tego pistoletu.

Łatwy stosunkowo dostęp do poniewierającej się wszędzie broni miał negatywny wpływ na wielu przedstawicieli mojego pokolenia. Imponowało nam jej posiadanie. Kilku naszych kolegów zginęło tragicznie przy próbach rozbijania artyleryjskich pocisków. Z czasem nabraliśmy rozumu i posiadaną broń wrzucaliśmy do rzeki. Podobnie i ja postąpiłem, natomiast mój brat Staszek ukrywał ją dość długo.

Niemcy wycofali się w sierpniu 1944 roku tylko do Wisłoki, nad którą leży Dębica. Na tej linii zatrzymała się też Armia Czerwona, prowadząc wojnę pozycyjną aż do połowy stycznia następnego roku. Ropczyce stały się więc bliskim zapleczem działań frontowych. Celem zapewnienia sobie wolnego przedpola bitewnego Rosjanie wysiedlili kilkadziesiąt wsi położonych w pobliżu Dębicy. Tysiące ludzi, wraz z dobytkiem, również z bydłem, w wyniku tej akcji pojawiło się na ziemi ropczyckiej, gdzie byli na ogół gościnnie przyjmowani. Jestem pewien, że wówczas ludzie byli lepsi niż w latach późniejszych. Cieszyli się, że przeżyli czasy okupacji i koszmar niedawno zakończonej bitwy. Chętnie sobie wzajemnie pomagali. Nie zapamiętałem sąsiedzkich zwad ani kłótni, powszechnych przecież na przedwojennej wsi galicyjskiej.

Kiedy skończyły się mroczne lata okupacji, miałem tylko czternaście lat, ale czułem się człowiekiem dojrzałym. Należałem bowiem do pokolenia, które zostało pozbawione dzieciństwa. Uroków tego bardzo wczesnego okresu życia, tak często opiewanych przez poetów i pamiętnikarzy, nie będę opisywał, bo ich po prostu nie zaznałem. Już jako nastolatek miałem świadomość, że sam muszę zadbać o swoją przyszłość, czyli być kowalem własnego losu.

## BIBLIOGRAFIA

*Archiwum polityczne Ignacego Paderewskiego*, t. III (1974), Wrocław–Warszawa: Ossolineum.

Bonusiak W., Kiryk F. (red.) (1991), *Ropczyce. Zarys dziejów*, Rzeszów: KAW.

Fierich J. (1933), *Broniszów – wieś powiatu Ropczyckiego. Studium ekonomiczno-społeczne*, Warszawa: KAW.

Łopuszański P. (2010), *Gustaw Holoubek – filozof bycia*, Warszawa: Oficyna Wydawnicza RYTM.

Piekarski F. B. (oprac.) (1813), *Zbiór praw polskich i W. Ks. Litewskiego od roku 1347 Sejmu Wiślickiego aż do roku 1786*, Kraków.

*Przeszłość wsi powiatu ropczyckiego w ustach ich mieszkańców* (1936), ujął i wnioskami opatrzył dr Jerzy Fierich, Ropczyce: Nakładem Koła T.S.L. w Ropczycach.

Rymut K. (1933), *Słownik nazwisk współcześnie w Polsce używanych*, t. VI, Kraków: Polska Akademia Nauk, Instytut Języka Polskiego.

Taszycki W. (red.) (1971), *Słownik staropolskich nazw osobowych*, t. III, Wrocław: Ossolineum.

Terlecka-Reksnis M. (2018), *Holoubek. Rozmowy*, Warszawa: Prószyński i S-ka.

Wańkiewicz M. (1939), *Sztafeta. Książka o polskim pochodzie gospodarczym*, Warszawa: Biblioteka Polska.

### ***Engraved in memory. A fragment of autobiography***

#### **Summary**

Józef Miąso – professor emeritus of the Polish Academy of Sciences, born in 1930 in Witkowice in the Ropczyce county. The Ropczyce land (Ziemia Ropczycka) is located on the border of Carpatian Foothills and Sandomierz Basin. Ropczyce was founded in 1362 by King Casimir the Great. The author describes his life in interwar Poland and during German Nazi occupation. He takes emphasis on his family life and home education. From 1936 to 1940 he attended rural elementary school in Witkowice and then for three years continued elementary education in Ropczyce. These schools were the effect of the new School System Act of March 11, 1932, which somehow improved elementary education. In the period of the German occupation, Polish literature, history and geography were excluded from the curricula. It provoked Polish people to organize different forms of clandestine education. The author, who completed seven grade elementary school in 1943, continued self-education at his family home. It was for him true education. He fell in love with Polish obligatory reading books, which greatly broadened his liberal education and prepared him to take up further education. In conclusion the author emphasized that he as a 14-year-old boy considered himself as an adult, as he belonged to the generation who was deprived of normal childhood.

**Keywords:** Józef Miąso, Galicja, Ropczyce, Witkowice, Elementary school, Home education, German occupation.